

Po czyjej stronie stoimy?

-Wygląda na to że czysto, pułkowniku- powiedział zwiadowca.

Prawa ręką ciągle trzymał zawieszona na szyi lornetkę, mimo że od dobrych 10 min zdawał mi sprawozdanie z rozpoznania pobliskiej wioski. Zabawne.

-Albo wiedzą już o nas od dawna i siedzą w kryjówkach albo tam naprawdę nikogo nie ma- dodał

- Miejmy nadzieję że to drugie- odpowiedziałem- nie chcę ryzykować utraty kolejnych ludzi. Odwróciłem się w stronę mojego oddziału. Spojrzałem na nich. 40 ludzi, uzbrojonych po zęby. Niesiemy śmierć dla wszystkich odmieńców Pustkowiec od blisko miesiąca a oni wciąż potrafią się uśmiechać. Wciąż potrafią rozmawiać o zwykłych rzeczach. Mimo to, kiedy trzeba walczą za stu. „jesteśmy najlepsi”, pomyślałem z dumą.

-Zbieramy się panowie!- krzyknąłem do nich.- W wiosce może uda nam się nieco uzupełnić zapasy i wyruszamy dalej.

Wsiadłem do hummera i skinąłem głową na kierowcę. Pojazd ruszył powoli. Ludzie leniwie podnosili się z ziemi, kończąc rozmowy, dopalając papierosy. Strzelec zajął miejsce przy browningu zamontowanym na dachu hummera. Ludzie ustawili się w szyku. Wszyscy zgrani i doskonale zdyscyplinowani. Bandyckie ścierwo nie ma szans.

Piaszczysta droga opadała nieco w dół co sprawiało że marsz nie był uciążliwy. 2 km przed nami leżała niewielka wioska, zapomniana przez świat. Nikt nawet nie zastanawiał się jaką nosiła kiedyś nazwę, nie zwrócił uwagi na niewielką tabliczkę, która z biegiem lat i tak stała się nieczytelna. Takie szczegóły nie miały znaczenia.

Wioska w istocie była niewielka. Zaledwie kilka domów, niewielki kościół i coś co pewnie kiedyś było ratuszem. Leżała w niewielkiej kotlinie. Szliśmy od południa, od strony niewielkich pagórków. Na północy i zachodzie rozciągały się wzgórza, całkiem wysokie jak na ten obszar. Koła hummera toczyły się powoli, wzbijając w powietrze niewielki obłok kurzu. Ludzie, którzy następowali z tyłu dodatkowo je powiększali swoim marszem co sprawiało że ostatnie szeregi szły w potężnej chmurze pyłu. Cała ta podróż nieco mnie już męczyła. Wędrowaliśmy już miesiąc a cel wciąż wydawał się odległy. Cel wyznaczony przez gen. Heinricha, więc nie poddawany dyskusji. Osiągnąć to przekłete miasto. „To ważny punkt strategiczny”, powtarzał. „Macie tam dotrzeć i oczyścić je ze świecącego od promieniowania plugastwa. Od bandytów, którzy panoszą się po ziemiach należących się nam. I co najważniejsze macie odnaleźć i zlikwidować dezertów”. Oddział wysłany z taką samą misją, przeszedł na stronę wroga. Pamiętam dobrze jego przemowę w Radzie. To naprawdę wielki człowiek i wielki dowódca. Pod jego rozkazami wkrótce przywrócimy ład i porządek. Wybrał mnie więc nie mogę zawieść. Muszę...

Strzał. Przebiegł dookoła odbijając się echem od okolicznych wzgórz. Następnie odgłos padającego na ziemię ciała.

- Snajper!- wrzeszczał kapral.- Kryć się!-

Żołnierze rozbiegli się szukając schronienia. Kierowca zatrzymał hummera i ze strachu skulił się pod kierownicą. Drugi strzał. Żołnierz obsługujący browninga wpadł bez życia do wnętrza pojazdu. Wyskoczyłem z auta i przeturlałem się za najbliższy głaz. Szczęśliwie obok mnie leżał nasz zwiadowca, ściskając w dłoni lornetkę.

- Skąd padły strzały?- zapytałem

- Nie wiemy jeszcze, sir- odkrzyknął- Jedynymi odpowiednimi miejscami są wieża kościoła i wzgórze na północy.-

- Jeśli zaszył się na wzgórzach to mamy problem- krzyknął kapral odczołgując się do nas- Nie wychylać się!-

- Szczerza wąpnię żeby był w stanie trafić z takiej odległości- powiedziałem- do wioski zostało najwyżej 500m. Część ludzi zostanie tutaj i ostrzela wieżę a reszta ruszy biegiem do tej wiochy. Gdy tylko dotrzemy do zabudowań te ścierwa będą nasze. Wydadaj odpowiednie rozkazy ludziom- rozkazałem kapralowi

- Tak jest!- krzyknął odczołgując się.

Snajper nie strzelał. Czekał na czysty strzał. Najwyraźniej miał mało pocisków. Nie chciał ich marnować na niepotrzebny ostrzał. Tym lepiej dla nas. Minęło kilka chwil. Ludzie byli gotowi do szturm. 10 zostaje, 30 atakuje. Wszyscy czekali na sygnał.

- Teraz!- wrzasnąłem podnosząc się z miejsca- Celować w wieżę!-

Zmasowany ostrzał, mimo że niecelny, najwyraźniej przstraszył snajpera, gdy ze strony wioski nie odpowiedziano ogniem. Ruszyliśmy biegiem, cały czas strzelając. Byle tylko dobiec do budynków, do osłony. 400m, 300, 100, już prawie. Nagle jeden biegnących pada. Snajper strzelił. Inni się nie zatrzymują. Potykają się, przewracają, lecz utrzymują tempo. Morderczy trening, jaki przeszli, przyniósł efekty.

Udało się. Jesteśmy w wiosce. Wiem że właściwie już wygraliśmy, lecz nie tracę koncentracji i skupienia. Podzieliłem ludzi na 3 grupy po 10 osób i ruszyliśmy. Powoli, ubezpieczając się i sprawdzając dokładnie każdy zakamarek przesuujemy się do przodu. Większość zabudowań to domki jednorodzinne, sklepy lub magazyny. Brak jakichkolwiek blokowisk. Zresztą to nie dziwne. W tak małej miejscowości kiedyś nie budowało się bloków. Przez pierwsze 15 min nie napotkaliśmy żadnego oporu, żadnej aktywności przeciwnika. Czyżby ten snajper był sam? Chciał powstrzymać 40 ludzi w pojedynkę? Śmieszne.

Dotarliśmy do placu w centrum wioski. Naprzeciwko nas stał kościół a parę metrów obok budynek ratusza. Dzieliło nas od nich jakieś 50m otwartej przestrzeni rynku. Snajper miałby nas jak na dłoni. Pierwsza grupa pozostała na miejscu, ja wraz z dwiema pozostałymi ruszyłem okrężną drogą. Planowałem obejść kościół, dostać się do niego od tyłu i dopaść wrogów. Szliśmy powoli. Wciąż zero oporu. Dotarliśmy do drzwi. Skinąłem głową, 4 weszło do środka. Dookoła panowała absolutna cisza. Nagle doszedł nas odgłos metalowego przedmiotu spadającego na posadzkę. Odwróciłem się szybko.

- Granat!- wrzasnąłem- wycofać się!

Wybuch. Siła podmuchu przewróciła mnie na ziemię, dym zasłonił wszystko dookoła.

Podniosłem się szybko i zacząłem rozcierać pył ręką. Dwóch zdążyło wyskoczyć. Dobrze. Nieco ubrudzeni ale cali. Ostrożnie zajrzałem do środka. Jeden z żołnierzy leżał pod ścianą. Poobijany, ale wyglądał na żywego. Po czwartym została krwawa plama. Pieprzony granat wleciał mu pod same nogi. Strzępy ubrań i kawałki ciała leżały dookoła.

- Wyłaż stamtąd skurwysyni albo zrównam ten kościół z ziemią!- krzyknąłem z wściekłością- Wyjdź teraz a może uratujesz swoje żałosne dupsko!

Zero odpowiedzi.

-Przynieście dynamit- rozkazałem- pochowamy go w tym kościele razem ze wszystkim innym co jest w środku.-

- Żegnaj śmieciu- krzyknąłem z uśmiechem

10 min później ładunki były podłożone. Dałem rozkaz.

Wybuch wstrząsnął całą okolicą. 20 kilo dynamitu robi swoje. Z kościoła została wielka dziura w ziemi, sąsiednie budynki zostały porządnie uszkodzone. Nawet z ratusza odpadła jedna ściana.

- Ruszamy do ratusza- powiedziałem, gdy dym po wybuchu opadł

Cały nasz oddział wyszedł na rynek. Po tym co zrobiliśmy te ścierwa nie odważą się strzelać.

- Wyłaż stamtąd albo zrobię z wami to samo co z waszym marnym snajperem!- wrzasnąłem.- mamy wystarczająco dużo dynamitu żeby wysadzić całą tę wiochę!

- Pieprz się!- odkrzyknął ktoś ze środka.
- Nie chcesz gadać ze mną to może pogadasz z nią! Dawać ją tu!- rozkazałem kapralowi-
Patrz co znaleźliśmy w jednym z domów! To chyba wasze!-
Żołnierze przyprowadzili więźnia. Młoda dziewczyna, ok. 25 lat, całkiem ładna. Ubrana w jakieś lachmany, szarpała się i próbowała wyrwać. Mogłaby być niezła, gdyby nie to że jest pieprzonym bandytą. Jest jedną z tych, których tacy jak ja tępią. Rzucili ją na ziemię przede mną. Złapałem ją za włosy i mocno podniosłem do góry. Lufa pistoletu dotknęła jej skroni.
- Co powiesz teraz twardzielu?- krzyknąłem w stronę ratusza- masz 5 min na wyjście i złożenie broni. Ty i wszyscy twoi ludzie. -
Cisza. Głupek pewnie myślał że blefuję. Właściwie bez znaczenia było czy wyjdzie. Jeśli nie zdobędziemy ratusz szturmem. Nie takie akcje przechodziliśmy. Tak czy siak, zginą.
- 2 minuty!- krzyknąłem
Wciąż cisza. Dziewczyna zaczęła płakać.
- 30 sekund!-
Nic. Bandytka zanosila się histerycznym szlochem.
-7,6,5,4-
-Dobra!- doszedł nas głos- wychodzimy!. Puść ją!-
- Nie ty tu dyktujesz warunki śmieciu. Wyłaż. -
W drzwiach pojawili się ludzie. Szli z uniesionymi rękami, z bronią nad głową. Było ich ok. 20. Wszyscy ubrani przeważnie w skóry, wytatuowani. Typowi bandyci.
- Rzucić broń- powiedziałem.
Wszystko co mieli wylądowało na ziemi. Całkiem imponująca kolekcja.
- Poddaliśmy się- odpowiedział wysoki chłopak. Połowę twarzy zakrywał mu jakiś obrzydliwy tatuaż- teraz puść nas wolno.
- Chciałbyś co?- zapytałem- Chciałbyś żebym puścił ją- potrząsnąłem dziewczyną- Nic z tego. Zabiliście 4 naszych ludzi.-
Spojrzałem mu głęboko w oczy, uśmiechnąłem się i pociągnąłem za spust. Kula przeszła przez głowę dziewczyny niszcząc jej czaszkę. Kawałki mózgu wyleciały z impetem za kulą a jej ciało opadło bezwładnie. Puściłem jej włosy.
- Nie!- wrzasnął rozpaczliwie chłopak
-Ależ tak- odpowiedziałem i podniosłem pistolet w jego stronę. Pociągnąłem za spust po raz drugi.
-Zabić ich!- wrzasnąłem
Żołnierze podnieśli broń.
Kilka chwil potem było po wszystkim. Cała ta banda leżała martwa. Świat stał się lepszy. Wizja gen. Heinricha przesunęła się kilka kroków do przodu, w kierunku całkowitej realizacji. Lecz z drugiej strony... zresztą, nieważne.
-Uzupełniamy zapasy i ruszamy dalej.- rozkazałem.
Ludzie rozbiegli się w poszukiwaniu użytecznych rzeczy. Kapral zbliżył się do mnie.
-Pułkowniku, czy to było konieczne?- zapytał
-Oczywiście- odparłem- to należy do naszych zadań.-
-Ale oni byli bez broni-
-Pomyślcie o tym że wcześniej ci bezbronni zabili 4 naszych. I zabiliby więcej gdyby nie to. Pomyślcie co w tej sytuacji zrobiłby gen. Heinrich. Jego rozkazów się nie kwestionuje kapralu.-
-Tak jest!- odparł z niepewną miną. Oddalił się w stronę reszty oddziału. Ja pozostałem przekonany co do słuszności podjętych działań. Liczyli się tylko mi ludzie oraz przede wszystkim rozkazy.

Wędrowaliśmy jeszcze dwa tygodnie. Mijane wioski i osady pozwalały nam uzupełniać zapasy. Ludzie jakich spotykaliśmy chętnie dzieli się tym co mieli w zamian za broń, informacje z innych części świata a nawet za kilkuminutową przejażdżkę hummerem. Kilkukrotnie potykaliśmy się także z bandytami i odmieńcami jacy powstałi po wojnie, po upadku bomb.

Przesuwaliśmy się wzdłuż skalnego urwiska, idąc ostrożnie. Nasz pojazd toczył się powoli, kierowca uważał aby nie spaść w przepaść. Zbliżaliśmy się do końca, do miejsca gdzie droga znowu stawała się szeroka. Brakowało kilkunastu metrów. Nagle w miejscu do którego zmierzaliśmy pojawiła się grupa uzbrojonych ludzi. Wyszli spokojnie zza skały i spojrzeli na nas.

- Miejcie broń w pogotowiu- rozkazałem

Tamci stali w bezruchu. W pewnej chwili zerwali się z miejsca i z dzikim wrzaskiem ruszyli biegiem w naszą stronę.

- Ustawić się w szyku!- krzyknąłem- celujcie w nogi-

Było ich ok. 20. biegli wywijając karabinami lecz nie strzelali. Jeden wyciągnął nóż i rzucił w naszą stronę. Nóż odbił się od hummera i upadł na ziemię. Biegli dalej. Kolejny z nich rzucił w moim kierunku trzymany karabinem i skoczył z wyciągniętymi rękami.

Strzał. Bandyta w locie oberwał w głowę, przeleciał jeszcze kilka metrów i upadł na ziemię.

- Nie strzelać!- krzyknąłem- rozbroić ich ale nie zabijać!-

Rozpoczęła się walka wręcz. Parę minut i wszyscy bandyci byli obezwładnieni.

- Kim jesteście?- zapytałem- Dlaczego nas zaatakowaliście.-

- A jak myślisz żołnierzyku- odpowiedział jeden z nich- Twoim zdaniem jestem bandytą, którego trzeba zabić. Ja jednak staram się tylko przeżyć.

- Kosztem innych- odparłem

- Nikt mi nigdy nie podcierał tyła. Jeśli sam o siebie nie zadbam, to nikt tego nie zrobi. Chyba że przyjdą tacy jak ty. I rozwiążą wszystkie moje problemy jednym ruchem palca.

Spojrzałem mu w oczy.

- Nie jestem mordercą.-

- Oczywiście że nie. Ty tylko „zaprowadzasz porządek”. Szkoda tylko że jakoś go nigdzie nie widać. Dalej, zabij mnie. Zbyt wiele widziałem, by bać się śmierci.

- Wystarczy jedno moje słowo żeby cała twoja banda stała się kupą mięcha.

Bandyta milczał.

-Lecz nic nie rozkażę.- kontynuowałem- Jesteście wolni. Może popełniam błąd, lecz ja także wiele widziałem na Pustyni. Znam to życie.-

Bandyta spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Jaką mam pewność że nie strzelisz nam w plecy?-

-Żadnej. Daję ci moje słowo. Lecz jeśli zawrócicie i zagrożicie nam po raz drugi nie okażę takiej dobroci. Niech to będzie przykład powrotu „porządku”.-

Wstał bez słowa. Przyjrzał mi się uważnie.

- Zbieramy się!- krzyknął na swoich ludzi. Zwrócił się do mnie- Pewnie mi nie uwierzysz, ale dziękuję. Nie masz w nas już wrogów. -

Odeszli. Byłem zadowolony ze swojej decyzji.

Takie ataki pojawiały się dość często. Nie miały one właściwie żadnego sensu. Wszyscy oni byli głodni, chorzy i marnie uzbrojeni. Wyglądało na to że chcieli po prostu umrzeć. Anieli mieli odwagi sami strzelić sobie w łeb. Kiedy patrzyłem im w oczy, oczy pełne przerażenia, oczy które ledwo widziały, zaczynałem im współczuć. Większość z nich puszczałiśmy wolno. Zabijaliśmy czasem kilku dla przykładu. Przecież oni tylko walczą o przetrwanie, jak wszyscy. Nie! Przecież to bandyci. Napadają i grabią a my wprowadzamy porządek. Co mi

odbiło? Nie wykonuję rozkazów. Rozkazów generała. Przecież on nie może się mylić. A może jednak...

- Wszystko w porządku?-

-Co?- zapytałem zdezorientowany

- Pytałem czy wszystko w porządku, sir- kapral stał naprzeciwko mnie.

-Oczywiście- odparłem- O co chodzi?

-Wyglądało to jakby bił się pan sam ze sobą- ciągnął

- Czy przyszliście żeby obserwować jak wyglądam?- zapytałem ostro

-Ależ nie- zaprzeczył- zwiadowcy mówią że jutro około południa dotrzemy do miasta.-

-Wspaniale- odparłem- po tylu tygodniach. Zostaw mnie teraz. Muszę przemyśleć to i opracować plan działania.

- Tak jest!-

Zasalutował, odwrócił się i odszedł wolnym krokiem. Wreszcie tam dotrzemy. Według dowództwa to miasto to główna siedziba bandytów. Ważny strategicznie punkt. Poza tym to miejsce gdzie prawdopodobnie przebywa oddział „Ostrze”, dezerterzy. Mam nadzieję że będą stawiać opór. Jeśli będą wyglądać tak jak inni to czeka mnie spory dylemat. Opór oznacza walkę. A walka oznacza nasze zwycięstwo. Wpadamy, robimy porządek i wracamy. Świetnie. Co jednak jeśli są tam tacy sami biedacy jakich spotkaliśmy na szlaku? Te wątpliwości mnie zabijają. Nie mam już do tego siły. Nie! Muszę wziąć się w garść. Jeszcze trochę. Trzeba opracować plan na jutro. Właśnie. Potrzeba mi jakiegoś zajęcia...

Słońce było w zenicie. Żar niemiłosiernie lał się z nieba. Ludzie powoli parli przed siebie a silnik hummera okropnie charczał. Piasek coraz bardziej dostawał się do silnika. Nie wiem czy wróci z nami. Liczyłem na to że cień rzucany przez budynki zapewni nam chwilę odpoczynku. Miasto znajdowało się dokładnie przed nami. Jeszcze pół godziny drogi i osiągniemy cel.

- Trzymajcie broń w pogotowiu- krzyknąłem wychylając się przez okno- nie wiadomo dokładnie co nas tam czeka-

Kiedy mijaliśmy pierwsze zabudowania, dookoła panowała cisza. Napięcie rosło z każdą chwilą. Wróg mógł się pojawić w oknie, wychylić z jakiejś dziury czy wyskoczyć zza rogu. Walający się dookoła gruz często zagradzał nam drogę, liczne wyboje i leje uniemożliwiały Hammerowi przejazd. Wybite okna ziały pustką, miasto wydawało się opustoszałe. Tchorze, wszyscy się pochowali.

Nagle zza rogu wyszedł jakiś człowiek z rękami uniesionymi do góry. Szedł bardzo powoli. Kilkadziesiąt łuf skierowało się na niego.

- Nie strzelać!- krzyknął przerażony- Nie jestem uzbrojony!-

Był wychudzony i blady. Stare, podarte szmaty zakrywały nieco ciało pokryte licznymi bliznami i plamami, zapewne po przebytych chorobach. Zapadnięte oczy patrzyły ze strachem.

- Nie strzelajcie! Błagam!- powtórzył łamiącym się głosem

- Kim jesteś?- zapytałem- bandyta czy cywilem?-

- Gdzieżby tam bandytą- odparł- żyjemy sobie spokojnie tu, w tych ruinach. Rano żeśmy was zobaczyli na drodze, to mnie wysłali na powitanie. Błagam nie zabijajcie mnie-

- Na razie ci wierzę- skłamałem- możesz puścić ręce ale trzymaj je na widoku. Zaprowadź nas do waszego osiedla. Pamiętaj że mamy cię na oku. Jeden wybryk i...- przejechałem placem po szyi. Oczy chłopaka rozszerzyły się jeszcze bardziej.

Prowadził nas przez zrujnowane miasto. Szczęśliwie droga w tym miejscu była na tyle odgarnięta z gruzu że bez większych problemów dało się przejechać. Szliśmy wolno,

rozglądając się bacznie dookoła. Budynki były w stanie rozkładu, bliskie całkowitemu zawaleniu.

-Jesteśmy już blisko- poinformował chłopka- jeszcze z 10 min drogi i będziemy na miejscu.- Są z nami żołnierze tacy jak wy. Jesteście tu żeby im pomóc prawda?- spojrzął na mnie z nadzieją.

Skinąłem głową bez słowa. Nie chciałem psuć tej chwili jego szczęścia. Być może jedynej w jego życiu. Szliśmy dalej.

Nasz przewodnik ledwo trzymał się na nogach lecz mimo to prowadził nas przez ruiny.

Biedak. Widział w nas zbawców, ratowników. Jakże się rozczaruje. Ta myśl sprawiała mi ból.

Jednak przejście na stronę wroga nie może ująć na sucho. Rozumiałem nieco co prawda pułkownika Collinsa. Nie wiem co zobaczył w tym mieście lecz wiem co widział na pustyni.

Dowódcy, najwyżsi rangą, siedzący w bazach, żyli w nieświadomości, nie mając pojęcia o tym jak tutaj wygląda życie. Nigdy nie myślałem że wojna może przynieść tak tragiczne skutki. Że ludzie tak bardzo poddadzą się najniższym instynktom. Mam nadzieję że wkrótce dowiem się co skłoniło Collinsa do porozumienia się z bandytami.

- Jesteśmy- powiedział chłopka- za tym budynkiem znajduje się nasze osiedle.

-Uwaga, wchodzimy- powiedziałem do swoich ludzi.

Naszym oczom ukazało się niewielka osada. Zrujnowane budynki, podreperowane nieco rozmaitym śmieciem stanowiły zapewne domy. Otaczały one plac wielkości boiska. Sądziłem że mogło tu mieszkać ok. 200 osób. Część z nich kręciła się po placu, wykonując rozmaite prace lub rozmawiając. Bacznie rozglądałem się w poszukiwaniu zdrajców.

- Zaprowadź mnie do dowódcy drugiego oddziału- powiedziałem do chłopaka.

- Mieszka o tam- wskazał na niewielką chatę, przybudówkę zrujnowanego bloku.- myślę jednak że sam przyjdzie do ciebie. O, właśnie wychodzi.

Dostrzegłem wysoką postać w długim, wojskowym płaszczu, takim jak mój. Jednocześnie z sąsiednich budynków zaczęli wychodzić członkowie jego oddziału. Po chwili byli przy nas.

- Witaj pułkowniku- odezwał się jako pierwszy- wiedziałem że w końcu kogoś przyślą.-

- Wiesz po co tu jestem- odparłem.- sam jesteś sobie winien-

- Nie rozmawiajmy przy nich- spojrzął na biedaków, którzy zaciekawieni zbliżali się do żołnierzy.- chodź do mojego domu-

Spojrzałem na niego.

- Nie bój się, to nie jest podstęp- dodał łagodnie.

-Dobrze- odparłem

Chata była niewielka, słabo wyposażona. Prowizoryczne łóżko, jakiś stół i kilka połamanych krzeseł.

- Dlaczego to zrobiłeś- zapytałem- czemu sprzymierzyłeś się z bandytami-

- Z jakimi bandytami? Spójrz na tych ludzi. Nie są w stanie unieść karabinu. Zresztą, nawet go nie mają.

- Co chcesz przez to powiedzieć?-

- Że tu nie ma żadnych bandytów.- złapał mnie za ramiona- przejrzyj na oczy. Ja pomagam tym ludziom przetrwać. A to nie pokrywa się z planami twojego generała, który chce wszystkich wytluc. Wszystkich, którzy mu się nie podobają. -

Wyrwałem się z uścisku.

- Powiedziano mi że bandyci z tego miasta terroryzują okolicę. Że pomagamy bezbronnym.-

- tak jak i mnie. Oszukano nas. Widziałeś chyba na Pustyni to co i ja. Śmierć, głód i choroby. Ludzi, którzy są tak głodni że jedzą własny kał, tak spragnieni że piją własny mocz. To są twoi bandyci.-

- Czy wiesz co to oznacza?- zapytałem- To oznacza że wszystko czego mnie uczono to kłamstwa. Że cała Rada dała się oszukać.-

- Nie, przyjacielu. Oni są tacy sami. Wszyscy pragną większej władzy.-

- Jesteś dezercerem i zdrajcą.-

-Spójrz na moich żołnierzy.- odparł- czy tak wyglądają dezercerzy i zdrajcy?-

Obróciłem się. Jego ludzie odłożyli broń. Nie chcieli walki. Byli prawie tak samo bladzi i wychudzeni jak mieszkańcy tej wioski. Rozmawiali z moimi żołnierzami. Uśmiechali się., podawali ręce. Pewnie chcieli wiedzieć co słychać w domu i dlaczego sprawy Ida tak jak idą.

- Wciąż nie jestem przekonany- odparłem z wahaniem- na Pustyni spotkałem też wielu prawdziwych bandytów. Skąd mogę wiedzieć że nie jesteś jednym z nich?-

Nagle do chaty wpadł chłopak, który nas tu przyprowadził.

- Zbliży się drugi oddział.- krzyknął. Był cały roztrzęsiony.- Wysłaliśmy Marię aby ich powitała tak jak was- spojrzał na mnie- a oni ją rozstrzelali. Bez słowa!.

- Widział?!- zapytał Collins- oto twój generał i twoje niesienie pomocy.-

- To niemożliwe- krzyknąłem- muszę połączyć się z bazą.-

Wybiegłem na zewnątrz. W Hammerze zamontowano radio, do użytku tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Baza, tu oddział „Ogień”, odbiór

- Tu baza, słyszemy cię dobrze, o co chodzi?-

- Podąża za nami drugi oddział. Co się dzieje?-

-Jeszcze się pytasz?- doszedł mnie głos generała

- Panie generale, nie rozumiem-

- Wysyłamy cię z ważną misją a ty bratasz się z wrogiem?-

- Jakim wrogiem? Z całym szacunkiem ale tu są tylko bezbronni biedacy-

- Są skażeni, nieczyści. Należy ich usunąć dla dobra świata i naszej sprawy. Doniesiono mi że nie wykonujesz rozkazów. Że puszczasz bandytów wolno. A na dodatek, że pozwalasz sobie na jakieś pogaduszki ze zdrajcami-

- Co? Kto doniósł?-

Nagle usłyszałem strzał. Wyjrzałem z samochodu. Jeden moich żołnierzy leżał martwy. Reszta stała nad nim.

- Mieliśmy kreta!- krzyknął do mnie kapral- Cały obładowany elektroniką!-

Powrotem schowałem się do pojazdu.

-Wszystko jasne- powiedziałem do mikrofonu.

- Oddział został wysłany na wszelki wypadek- kontynuował generał- podejrzewałem że skończysz jak „Ostrze”. Wysłałem takich, którzy nie zawiodą. I na wszelki wypadek potroiłem ich liczbę. Jesteście na naszej ziemi.-

- Na waszej ziemi?!- krzyknąłem – Będzie wasza dopiero wtedy gdy nam ją odbierzecie!- Wściekle rzuciłem radiem. Pieprzony świr. Dzięki Bogu że zdążyłem się opanować. I pomyśleć że kiedyś go podziwiałem.

Szybko wyskoczyłem z samochodu.

- Przygotować się do obrony!- krzyknąłem- wkrótce będą tu wrogowie!-

- Pułkowniku- powiedział kapral- proszę wybaczyć, ale po czyjej stronie stoimy?-

- Po czyjej stronie?- przyciągnąłem ku sobie stojącego obok małego chłopca. Był brudny i obdarty a w jego oczach widać było strach- Po jego stronie!-

Entuzjastyczny krzyk żołnierzy rozległ się dookoła.

- Szykować broń, bo wkrótce zrobimy to, po co tu przyszliśmy- krzyknąłem- zabijemy kilku bandytów!

Ludzie zaczęli się przygotowywać. Podeszedłem do Collinsa.

- Czy mogę liczyć na twoją pomoc?- zapytałem.

- Oczywiście. Cieszę się że przejrzałeś na oczy.

- Dzięki tobie.- poklepałem go po ramieniu.- Mamy niewiele czasu by jakoś się tu umocnić.-

- Przyjdą pewnie od tej samej strony co wy- wskazał przed siebie- zbudujmy tam barykadę.

Część moich ludzi ukryję w budynkach naokoło placu.

- W porządku. Wyprowadź gdzieś mieszkańców.
- Oczywiście- zasalutował
- I jeszcze jedno. Nie jesteśmy już w wojsku. Nie salutuj- uśmiechnąłem się.
Uśmiechnął się także i odszedł. Zebrałem swoich ludzi. Już po chwili uwijaliśmy się budując zaporę, która choć na chwilę miała powstrzymać wroga.

- Będą za jakieś 5 min!- krzyknął zwiadowca.
- W porządku- odparłem- jesteśmy gotowi. Pamiętajcie, czekać na mój sygnał.-
Ludzie ukryli się za wzniesioną zaporą. Była to w zasadzie sterta kamieni i innego śmiecia, wysoka na 3m. Zajmowała całą szerokość drogi prowadzącej na plac. Od frontu wyglądała na nieprzebyta ścianę, od naszej strony miała różne wzniesienia na różnych wysokościach co ułatwiło ustawienie się i ostrzał w wielu pozycji. Stałem na szczycie. Czekaliśmy. Wkrótce pojawiła się kolumna ludzi. Na przód wyszedł dowódca.
- Odejdźcie stąd a nikomu nic się nie stanie. Nie jesteśmy bandytami.-
- Sranie w banię zdrajco- odkrzyknął ostro- gdybyś potrafił wypełniać proste rozkazy, nie doszłoby do tego.-
- Nie wiesz o czym mówisz, głupcze. Nie widziałeś tego co my.-
- Mówisz o tych śmieciach na Pustyni, których pozostawialiście po sobie?- Wiedz że wszyscy nie żyją.-
Spojrzałem na niego ze złością. Pieprzony fanatyk.
- Więc żegnaj- skoczyłem do tyłu, chowając się za barykadą.- teraz!- wrzasnąłem.
Moi ludzie rzucili granatami.
- Kryć się!- krzyknął tamten- a potem zabić ich wszystkich!-
Rozgorzała walka. Strzały padały obydwu stron, odłupując kawałki ścian. Kule świszczały dookoła a tamci padali jak muchy. Przynajmniej początkowo. Moi żołnierze wychylali się na krótko by oddać strzał i powrotem chowali. Ogień przeciwnika się nasilał.
Wkrótce siedzieliśmy przygniecieni ogniem. Pojedyncze granaty od czasu do czasu leciały w ich stronę, na chwilę osłabiając ostrzał. Mogliśmy jedynie strzelać na oślep, wychylając broń ponad osłonę. Nagle huk. Siła wybuchu odrzuciła mnie do tyłu. Potężna część barykady wyleciała w powietrze zasypując okolicę kamieniami. Widziałem jak kilku moich ludzi leciało w powietrzu.
- Mają rakiety!- wrzasnąłem- Wycofać się na plac! Wycofać się!-
Ruszyliśmy do ucieczki. Byle tylko dotrzeć do budynków. Tamci napierają coraz bardziej. Zabiliśmy wielu lecz to nie wystarczało by zmusić ich do ucieczki. Po kilku chwilach fala przeciwników wlała się na plac. Ostrzeliwaliśmy się jak dzicy, biegnąc cały czas. Chowaliśmy się gdzie tylko się dało. Wróg dostał już do połowy placu. Kolejni przeciwnicy napływali.
Nagle w oknach okolicznych budynków pojawili się ludzie Collinsa. Wzięci w krzyżowy ogień wrogowie spanikowali. Dało to moim ludziom czas na ukrycie się. Wróg mimo że był pod ostrym ostrzałem z trzech stron, nie tracił woli walki i przyjął szyk obronny. Celowali okna, rzucali granatami. Kawałki ścian odpadały a kule rykoszetowały od wszechobecnej blachy. Odzyskiwali przewagę. Nagle jedna z kul trafiła ich dowódcę. Postrzelony w nogę przewrócił się na ziemię. Zdezorientowani żołnierze, sądząc że nie żyje zaczęli się wycofywać, cały czas prowadząc jednak ostrzał. Wtem od strony barykady wysypała się druga fala ludzi. Biegli przed siebie dziko wyjąc i wymachując trzymaną bronią. Rozpoznałem wśród nich ludzi, którym darowałem życie na Pustyni. Nasi przeciwnicy spanikowali całkowicie.
- Teraz!- wrzasnąłem- Do ataku!

Wyskoczyliśmy z naszych kryjówek i ruszyliśmy do szarży. Bitwa była rozstrzygnięta. Zaatakowani z dwóch stron żołnierze generalscy zostali całkowicie wyrżnięci. Bandyci, którzy nas wspomogli nie darowali życia nikomu. Zresztą to nie byli już bandyci. Nie w moim przekonaniu. Dowódca przeciwników został zdeptany w czasie naszego biegu. Obroniliśmy się.

- Hurra!- krzyczeliśmy na całe gardło.

Collins podszedł do mnie.

- Gratuluję- powiedział wyciągając rękę- udało się

- Owszem- odparłem ściskając mu dłoń- Ale to także twoja zasługa- dodałem z uśmiechem- twoja i naszego przyjaciela, który zjawił się niespodziewanie i uratował nam tyłki. To jemu głównie należą się gratulacje i podziękowania.

Nasz wybawiciel zbliżył się.

- Spotkaliśmy po drodze tych pajaców- rzekł patrząc na leżące trupy- wiedziałem że coś się szykuje. Tak jak mówiłem, nie masz w nas wrogów.

- A ty masz we mnie przyjaciela. Który jest twoim dłużnikiem- odparłem.

Spojrzałem na pobożowisko. Trupy leżały dookoła. Obrońcy chodzili dookoła szukając kogoś kto przeżył. Odnieśliśmy całkowite zwycięstwo. Wiedziałem jednak że to nie koniec. Ten świr tak tego nie zostawi. Przyśle następnych i kolejnych a Rada mu na to wszystko pozwoli. To jeszcze nie koniec. Właściwie to dopiero początek.

By Kamrat